



Reportaże

Góry Semien

Zbyszek Borys

*Różnaj
Świat*

Nazywane Tybetem Afryki i Dachem Czarnego Łądu, góry Semien są najbardziej dziewiczym i najpiękniejszym masywem kontynentu. To poszarpane szczyty, przepastne urwiska, rozległe polany i endemiczne gatunki zwierząt, które od wieków mają tam swój dom.

Podczas pierwszego pobytu w Etiopii poznałem dwójkę Polaków. Spotkaliśmy się w restauracji hotelu "Wutma" – mekki wszystkich wędrowców docierających do Addis Abeby. Dla mnie był to początek podróży, dla nich koniec. Okazało się, że oprócz stolicy pamiętają drogę do Gonder, tam przesiadkę do Debarku i kilkudniowy trekking po górach Semien. No i powrót. Innymi słowy – pokonali tysiące kilometrów, aby dotrzeć do Etiopii tylko po to, aby zobaczyć najwyższy masyw kraju.



fot. Zbigniew Borys

Wydało mi się to nonszalancją z ich strony, a wręcz lekceważeniem takich skarbów Abisynii jak monastyny na jeziorze Tana, stele z Aksum, zamki Fasilidasa w Gonder i wykute w skale kościoły Lalibeli. Żeby wymienić tylko te najważniejsze. Dziwiłem się, dlaczego nie skrócili swego pobytu w górach i nie spróbowali dotrzeć do przynajmniej kilku ze sztandarowych atrakcji turystycznych tego wyjątkowego kraju. Zrozumiałem ich jakiś czas potem, kiedy sam minąłem bramę z napisem "Simien National Park". A było to tak.

Sparta w Debarku

Za Gonder skończył się asfalt. Droga pięła się w górę. Była brunatna i mokra od deszczu. Pod koniec października nie powinno padać – pora deszczowa na północy kończy się we wrześniu – ale czasami natura lubi płatać figle.

Po ponad trzech godzinach jazdy, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, zobaczyłem pierwsze zabudowania. – To Debark – rzucił kierowca i zatrzymał auto przed "Simien Park Hotel" – najlepszym w osadzie. Warunki noclegowe nie odbiegały od całości infrastruktury w wiosce. Były spartańskie.

Następnego dnia czekało mnie trochę formalności związanych z organizacją trekkingu. Pozwolenia, opłaty, wybór skauta (strażnika parku i anioła stróża każdego wędrowca) oraz zorganizowanie transportu do pierwszej górskiej bazy w Sankaber, skąd zwykle zaczyna się wędrówkę. Wszelkie dokumenty potrzebne do wejścia na teren parku narodowego załatwia się w jego głównej siedzibie. Bez wątpienia to najbardziej reprezentacyjny budynek w wiosce. A urzędnicy byli profesjonalni, pomocni i szybcy (co w Afryce jest pewnym odstępstwem od normy). W godzinę było po wszystkim.

Za to wynajęcie auta, którym mógłbym dotrzeć do granic parku, wymagało ode mnie znacznie więcej poświęcenia i cierpliwości. O moim planie wspomniałem jedynie kilku osobom, a wydawało mi się, że cała wioska już wie, że mam zamiar dojechać na czterech kółkach do bazy. Pojawiali się coraz to nowi, samozwańczy właściciele samochodów i proponowali coraz wyższe ceny za usługę. Wiedziałem jednak, że prawowitych właścicieli jest dwóch, bo w Debarku auta są dwa – reszta to zwyczajni pośrednicy, którzy chcą skorzystać z okazji, by zarobić parę groszy.



fot. Zbigniew Borys

Na poddaszu

Droga wiodła wśród pól uprawnych, które stopniowo zamieniały się w pastwiska i łąki. Zataczała półkola, biegła stromo w górę, by za chwilę nieznacznie opaść i zaraz potem wspiąć się jeszcze wyżej. Schronisko okazało się mrocznym bunkrem z kilkoma łózkami, w większości zajętej przez właścicieli mułów. Zapach w środku świadczył o tym, że chyba i muły zachodzą tutaj na noc. Po krótkim namyśle postanowiłem, że rozbiję namiot. Niebo się rozchmurzyło i powoli na nieboskłonie zaczęły się pojawiać gwiazdy. Gdzieś daleko zawył szakal, a tuż obok usłyszałem dźwięk łamanych gałęzi – to mój skaut przygotowywał

wieczorne ognisko. Po kolacji wsunąłem się w śpiwór najgłębiej, jak mogłem i zapadłem w sen. To była moja pierwsza noc na, jeśli jeszcze nie dachu Afryki, to z pewnością jej poddaszu (3230 m n.p.m.).

Tolkien na żywo

Wczesnym rankiem byliśmy już na nogach. A poranki w górach Semien bywają nad wyraz rzeźkie. Muł, wybrany przez Georga – mojego anioła stróża, już był gotów, a jego właściciel przygotowywał miejsce na jego grzbiecie pod nasze główne bagaże. Po skromnym śniadaniu wszyscy ruszyliśmy w drogę – w kierunku bazy Geech. Z początku ścieżka wiodła pośród soczystych kęp traw i eukaliptusowych drzewek. Mijaliśmy piękne czerwono-żółte kwiaty wstydlinów (kniphofia) oraz kolczaste krzewy z dorodnymi, kulistymi owocami, z których miejscowa ludność przyrządza coś w rodzaju płynu do prania.

Nagle droga urwała się, a przed nami pojawił się widok rodem z powieści Tolkiena. Strome urwiska, przepaście, strzępy wierzchołków i łagodne doliny z wioskami leżącymi na ich dnie. Na prądach powietrznych unosiły się biało-czarne kruki, zawadiacko skrzecząc i łypiąc na nas bystrymi oczyma. Georg nazwał to miejsce pierwszym punktem widokowym.



fot. Zbigniew Borys

Na następne nie musiałem długo czekać, gdyż szlak prowadził teraz wzdłuż głębokiego na ponad tysiąc metrów urwiska. Mój skaut oprócz staroświeckiej strzelby posiadał niezwykłą orientację w terenie oraz chęci, by pokazać mi jak najwięcej. Nie ominęliśmy zatem najwyższego wodospadu Jinbar, który przypominał cienką, srebrzystą nić. Nieopodal pojawili się chłopcy w dziwnych wełnianych czapkach na głowach i w... rękach. Te trzymane w dłoniach były na sprzedaż. Wyrabiane z koziej wełny stanowiły jedyną ofertę dla nielicznie przybywających tu turystów. Spojrzałem na te dzieciaki, ich bose stopy, postrzępione ubrania i nieśmiały wyraz twarzy. Bez wahania i targowania się kupiłem dwie. Kilometr dalej dostrzegłem namioty campu – miejsca, gdzie mieliśmy spędzić kolejną noc.

Krwawiące serca

Tej nocy prawie nie spałem. Z powodu zimna, rozrzedzonego powietrza, a może dlatego, że Georg wspominał, że następnego dnia zobaczymy dżelady i myśl o tym nie pozwalała mi zasnąć. Góry Semien to jedyne miejsce na świecie, gdzie można je spotkać. Ludzie nazywają je także pawianami o krwawiących sercach, z uwagi na czerwone znamiona na piersiach.

Występują one tylko u samców, a ich wielkość świadczy o sile i możliwościach reprodukcyjnych władcy stada.

Nazajutrz w drodze na Imet Gogo (3929 m n.p.m.) ujrzałem całe ich stado. I to nie raz. Wyglądały pięknie i tak jakoś niewinnie. Ponad setka osobników przemieszczała się powoli po łagodnych, zielonych zboczach. Często przysiadły na dłużej, zrywając soczystą trawę i wygrzebując jej pożywne pędy. Samce czujnie rozglądały się wokół, w przerwach między posiłkami kopulowały z samicami ze swojego harem, a niekiedy dochodziło do ostrej wymiany warknięć, a nawet krótkotrwałej walki z osobnikami z sąsiedniego stada.

Można było podejść do nich naprawdę blisko. Nieraz siadałem na kamieniu i starałem się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Wówczas dżelady zdawały się zupełnie zapominać o mojej obecności. Przechodząc obok, prawie muskały mnie swoimi grzywami. Tylko młode na każdy mój nawet niewinny ruch reagowały ucieczką na bezpieczny grzbiet albo podbrzusze matki. Georg ponaglał mnie, więc z żalem opuściłem swoje miejsce w stadzie. Dżelady przyjęły to jednak z wrodzoną sobie obojętnością. Do bazy przybyliśmy wraz z zachodzącym słońcem. Szybko poszedłem spać. Chciałem wypocząć przed jutrzejszym dniem, w którym miałem pobić swój górski rekord – zdobyć Mt. Bwahit (4430 m n.p.m.).



fot. Zbigniew Borys

Homer potwierdza

Droga na szczyt nie była ani zbyt długa, ani trudna. A mimo to szło się dosyć ciężko – głównie z powodu mniej zasobnego w tlen powietrza. Korzystałem z każdej okazji, aby zatrzymać się i spokojniej pooddychać. Na szczęście pretekstów ku temu miałem wiele. A to stadko dżelad, a to płochliwa kozica (*walia ibex*), albo zaskoczony moim widokiem szakal. Po cichu liczyłem, że może uda mi się zobaczyć – choć z daleka – wilka etiopskiego. Wiedziałem, że jest ich tu zaledwie garstka (około pięćdziesięciu sztuk) i szansa na spotkanie znikoma, ale za każdym razem, kiedy widziałem z oddali coś na czterech łapach, spoglądałem pytająco na Georga. On tylko uśmiechał się pod nosem, kręcił przecząco głową i wyszeptywał – "No, my friend – it's jackal".

Gdy stanąłem na szczycie, poczułem się przez chwilę zwycięzcą. Gdzieś na linii horyzontu majaczył Ras Daszen – najwyższy szczyt Etiopii (4543 m n.p.m.) i czwarta góra Afryki. Dwa dni drogi stąd. A dookoła mniejsze wzniesienia – całe morze gór. I wtedy Georg opowiedział mi przedziwną historię o tym jak dawno, dawno temu przybywali tu greccy bogowie, by od

czasu do czasu rozegrać partyjkę szachów.

Po powrocie do domu sięgnąłem po Homera. Georg miał rację.

Zbigniew Borys